

# KONINIANA

MIESIĘCZNIK Towarzystwa Przyjaciół Konina

16-21 grudnia 2003 r.

NR 9

## Drodzy, świątecznie bliscy Państwo!

Z okazji Świąt i kończącego się roku chcielibyśmy tak wiele Państwu przekazać, wszak to tradycyjny czas podsumowań. Wytłumaczyć się z pewnych działań, za inne przeprosić, obiecać poprawę, podziękować za to, że aktywnie kibicowaliście. Osobne słowa wdzięczności należą się „starszemu bratu”, czyli „Przeładowi Konińskiemu” za umożliwienie kontaktowania się z Państwem. Zresztą otrzymaliśmy od

Naczelnego „PK” obietnicę, że od nowego roku będziemy ukazywać się systematycznie w każdy drugi wtorek miesiąca. Ponadto na stronie tytułowej będzie informacja „Dziś Koniniana”. Jest to prośba dużej liczby czytelników.

W dzisiejszym wydaniu, co nie powinno być zaskoczeniem, zamieszczamy sporo tekstów traktujących o Świętach Bożego Narodzenia. Drukujemy obszerne fragmenty z książki

Zygmunta Kowalczykiewicza „Konińskie świętowania”. Bardzo ciekawe – polecamy. Zachęcamy również gorąco do lektury wspomnień o ostatniej okupacyjnej Wigilii, opowiedzianych przez siedmioro, naklonionych przede mną do zwierzeń, rozmówców. Jestem im bardzo wdzięczny, że zgodzili się podzielić z nami tymi często trudnymi przeżyciami.

Janek Sznajder przyniósł tym razem choinkę, odslania również osobi-

ste związki ze swoim ojcem, w setną rocznicę jego urodzin. Lech Hejman recenzuje najnowszą książkę Janiny Wenedy. Niech powieść Janiny Perathoner – konińskiej pisarki, będzie Jej gwiazdkowym podarunkiem ofiarowanym Państwu.

Na stronie ostatniej prezentujemy pokłosie konkursu poetyckiego o nagrodę „Milowego Słupa”.

Ze świątecznym pozdrowieniem

Stanisław Sroczyński

Z kart przeszłości

## Nadszedł dzień wigilijny

Każdy mieszkaniec Konina wiedział, że w tym dniu trzeba wcześniej wstać z pościeli, by czasu starczyło na wszystkie przewidziane czynności. Ponadto wczesne wstawanie wróżyło długie życie w pełni zdrowia. Wypędzenie chorób i klótni zapewniało wyniesienie z domu śmieci jeszcze nim na dworze ukaże się brząsk zimowego dnia. Nadsłuchiwało, w którą stronę szczerka pies, wiadomy znak zbliżającego się gościa. W tym dniu nie należało podnosić głosu, okazywać zdenerwowania, jeśli nawet były ku temu powody. (...)

W dzień wigilijny rzemieślnicy uczniów i czeladników wcześniej zwalniali z pracy, uprzednio dzieląc się z nimi opłatkiem i obdarowując drobnym podarunkiem. Kupcy dla stałych klientów też mieli przygotowane prezenty. Mieszkańcy obrzeży miasta, jeśli posiadali inwentarz, pozdrawiali zwierzęta przed ich karmieniem.

Od samego rana wyczuwało się w powietrzu dziwną podniosłość. Nawet serce ratuszowego dzwonu jakby inaczej godziny odmierzało. Dzieciaki miały ferie szkolne, przeto matczyńska nimi się wysługiwała, dając im zlecenia, aby w te pędy biegly do mydlarni po pastę mahoniową do podłogi, do sklepika kolonialnego, bo brakło w domu pieprzu, do mleczarni po śmietanę i masło. – Przyniesi wody! Wyniesie pomyje! Idź do piwnicy (komórki) po węgiel! Rozkazy padały raz za razem. Nie było gdzie się przed nimi skryć, bo w każdym z domów było podobnie. Chyba, że mróz na dworze skul wodę na podmiejskich błoniach i za zgodą matuli chwilę poślizgać się dało. Zresztą, niespecjalnie na dwór dziecińska się napraszały, bo trzeba było ubrać choinkę, a takiej przyjemności nikt dobrowolnie nie odpuści.

Największa krzątanina była w kuchni. Moczone od wczoraj grzyby i groch wymagały gotowania, tak samo jak słodka i kwaśna kapusta. Mak trzeba było utrzcć w makutrze, łażanki ugotować, sprawione wcześniej ryby usmażyć. Do tego na jarzynach uwa-

rzyć czerwony barszcz i naszykować uszka z farszem grzybowym. Czym mniejsze, tym większa дума pani domu, bo znać, że sztukę kulinarną dobrze opanowała. (...)

Godziny pędziły jak szalone. Na wszystko mało czasu, a tu już zmierzch do izb się wdziera i jeśli tylko pogoda pozwoli, na niebie pierwszą gwiazdkę co bystrzejszy zoczyć zdoła. Na schodach, w sieni, pod drzwiami słychać kroki. To zaproszeni na wiecezręć biesiadnicy. Znak, że za

chwilę gospodarz domu opłatek weźmie do rąk i dzieląc się nim, najserdeczniejsze życzenia wszystkim złoży.

W głębokiej powadze spożywano danie za daniem, a wszystkich potraw trzeba skosztować, aby przez cały rok mieć dostatek w domu. W tym też celu obdarowywano się rybimi łuskami, które ani chybi, ściągają pieniążki. Preto uważnie do kieszonek portmonetek i sakiewek je chowano i dając baczenie aby się nie zagubiły. Gospodynie chwa-

lono za smakowite jadlo. Dobre słowa miały ten skutek, że wnet zapomniała o bólach krzyża i o oparzeniu dłoni, gdy nią niebacznie gorącego rondla dotknęła. (...)

W miarę trwania wiecezry stawała się ona mniej dostojna. Dorośli drażnili się z dziećmi na temat podarków. Potem ktoś intonował „Lulajże Jezuniu moja perelko...” i płynęły koledy, jedna za drugą. Przenikały okna domów, wybiegały na ulicę miasta, wieszcząc o narodzinach Dzieciątka.

Potem od stołu wstawali gospodarze, zabierając resztki opłatka i nie zjedzonego chleba. Szli do bydłatek i innego domowego zwierza, by podzielić się nimi radosną wiadomością o narodzinach Pana, a zwierzaki miały w tę cudowną noc mówić ludzkim głosem. Pamiętano i o burkach pilnujących obęścia, o kotach zawzięcie polujących na myszy.

Bywało, że piękny wieczór kończył się wizytą koledników przebranych za anioły, diabły i inne stwory. Śpiewali, hałasowali, straszli i schlebiali biesiadnikom. Biesy straszły porwaniem do piekła, względnie wysmaganiem diabelskim ogonem. Turo nie kłapiący pieszczą zalecały się do dorodnych niewiast, próbując je ludzkimi rękami po posładkach poklepywać. Dzieciaki piszczały ze strachu, chowając się po kątach lub pod maminą spódnice lub za tatowe spodnie. Inni kolednicy nosili szopki wykonane z kartonów, a w nich nieporadne wyobrażenie Dzieciątka i Świętej Rodziny. Mała Świeczka chwiejącym płomykiem oświetlała wnętrze stajenki dźwiganej małymi rączkami. Bieda szopki korespondowała z siemiężnymi dziecięcymi ubrankami i nieporadnie odśpiewaną koledą. Jednakże te wizyty budziły w sercach najwięcej uczuć i wzruszeń. Obdarowani pieniążkami i słodyczkami kolejną koledą zęgnali gościnie ciepłe wnętrza izb.

Wieczór się skończył i noc przemierzała ulicami miasta. Zbliżał się czas wyjścia na Pasterkę.

Zygmunt Kowalczykiewicz



grafika - J. Sznajder

**Życzenia**  
Z okazji zbliżających się Świąt Bożego Narodzenia życzymy miłym Czytelnikom, by Gwiazda Betlejem-ska zawiodła ich na Wyspy Szczęśliwe, gdzie miłość, zgoda i pokój panuje.

Zarząd Towarzystwa  
Przyjaciół Konina

1. Z kart przeszłości
2. Ze wspomnień
3. Z dziejów Konina
4. Tworzyli wizerunek miasta
5. Naszym zdaniem
6. Inspiracje kulturalne
7. Z życia TPK
8. Barwy codzienności
9. Inne

# Bohaterowie Wenedy w Ameryce

Po raz drugi Janina Weneda zaskakuje Czytelników publikując książkę w treści dalekiej od powieści historycznych związanych z Koninem lub Ziemią Konińską, do których zdążyła nas przyzwyczaić. Już w poprzednim utworze nazwanym przez autorkę powieścią futurologiczną ułokowała akcję w odległych krainach, ale przynajmniej enklawą przeszłości uczyniła

wersytecie miejskim CUNY w Nowym Jorku potem na uniwersytecie w Waszyngtonie. Kupuje samochód, gra na giełdzie zwiększając majątek, zaczyna bywać w klubach i rezydencjach ludzi bogatych, w drogich restauracjach, ubiera się w renomowanych magazynach. Ma to czego chciał, ale autorka nie ma dla niego łitości. Demaskuje jego podłe postępowanie wobec żony, którą

„Szczuropolacy” i „Szczurojorczycy”.

Jednak w końcowej części znajdujemy w powieści Wenedy nazwiska trzech Polaków, wtedy, gdy toczy się akcja utworu, w czasach prezydentury Reagana, znaczących. Są to Jerzy Kosiński, Zbigniew Brzeziński i Czesław Miłosz. Pierwszego z nich, którego bulwersujące powieści ukazały się także na polskim rynku („Malowany ptak”, „Kroki”, „Cockpit”) przedstawia w sposób demaskatorski nie szczędząc słów krytycznych. Do dwu pozostałych ma ciepły stosunek, podkreślając ich nostalgię za Polską i niebagatelne osiągnięcia, pierwszego jako polityka i doradce prezydenta Cartera, drugiego chwali za piękną i mądrą poezję, która przyniosła mu Nagrodę Nobla.

Czy nowa powieść Wenedy znajduje zainteresowanie odbiorców, pewnie tak. Przeczytają ją na pewno Czytelnicy zachęceni nazwiskiem lub znajomością konińskiej pisarki. Tym, którzy śledzą panujące w USA stosunki społeczne, polityczne i obyczajowe polecam powieść jako utwór zawierający wiele przesłań do analogicznych wydarzeń zachodzących obecnie w naszym kraju. Na szczególną uwagę zasługują jej odniesienia do roli związków zawodowych, demokracji, korupcji, kryzysu rodziny, poziomu kształcenia, tolerancji wobec innych ludzi, wolnego rynku, bezrobocia, przestępczości, reform gospodarczych.

Autorka nie będąc nigdy w USA wykazała zadziwiającą erudycję w obrazowaniu panującej tam atmosfery życia obyczajowego, w znajomości realiów politycznych, a szczególnie w znajomości literatury amerykańskiej. Język, jakim operuje, jest nasycony terminami i zwrotami, które mają naśladować atmosferę życia amerykańskiego. Czy osiągnęła ten cel pozostawmy opinii Czytelnikom książki „Uwikłani w cierniach. Emigracja”, podobnie jak i ciekawość co do ostatecznego losu Rafała.

**Lech Hejman**

P.S. Książkę można nabyć u autorki i w konińskich księgarniach.

JANINA WENEDA



UWIKŁANI W CIERNIACH  
EMIGRACJA

okolice Konina. W najnowszej powieści „Uwikłani w cierniach. Emigracja” związków z naszym miastem Czytelnicy nie znajdą żadnych.

Bohater, magister anglistyki Uniwersytetu Warszawskiego, Rafał z żoną Iwoną, z wykształcenia lekarzem i małym synkiem Sebastianem, przybywa do Nowego Jorku jako emigrant polityczny. Ma jasno określone cele, pragnie możliwie szybko zdobyć pieniądze, doktoryzować się, uzyskać znaczące stanowisko na uczelni, by znaleźć się w elicie towarzyskiej nowej ojczyzny. Nie zważa na początkowe trudności, znosi przejawy agresji na swojej rodzinie przez świat przestępczy w metrze, w sklepie i na ulicy, a nawet bezwzględność wymiaru sprawiedliwości podejrzliwego wobec emigrantów. Patrzy na Amerykę jak na kraj wszelkiej szczęśliwości i wysokiej cywilizacji technicznej. Każę swojej żonie bezkrytycznie podziwiać niebotyczne wieżowce, pełne towarów supermarketu, mknące po ulicach limuzyny, wspaniałe muzea, kina, teatry, restauracje. Drażni go niechętny stosunek żony do Ameryki, ma jej za złe, że nie podejmuje pracy i chce wracać do Polski. Za szkodliwe uważa jej sentymentalne odwoływanie się do trwałości małżeńskiej, do praw człowieka.

Rafał doświadcza wszystkich uroków życia w Stanach Zjednoczonych. Realizuje się jako wykładowca na uni-

wersytecie miejskim CUNY w Nowym Jorku potem na uniwersytecie w Waszyngtonie. Kupuje samochód, gra na giełdzie zwiększając majątek, zaczyna bywać w klubach i rezydencjach ludzi bogatych, w drogich restauracjach, ubiera się w renomowanych magazynach. Ma to czego chciał, ale autorka nie ma dla niego łitości. Demaskuje jego podłe postępowanie wobec żony, którą zdradza, aby za pieniądze kochać i Heleny Fishberg, żony bankiera, osiągnąć powyższe cele. Bohater traci nielicznych przyjaciół, opuszcza go żona zabierając do Polski synka. Praca zawodowa nie przynosi mu satysfakcji, bo wiem już po paru zajęciach na uczelni uświadamia sobie, że studenci w Ameryce reprezentują poziom wiedzy polskiej szkoły średniej, a na otrwaniu doktoranckiego szanse ma niewielkie. Po kilku latach pobytu do jego świadomości dociera inna prawda o Ameryce niż zakładał. Obok bogatych, żyjących w kulcie pieniędzy i bezlitosnych w walce z innymi o dostatni byt, widzi bezdomnych i biedaków. Styka się z destrukcyjnym działaniem narkotyków na organizm młodych ludzi, z kobietami nie potrafiącymi żyć bez psychoanalizy, z wszechobecnym w życiu codziennym pragmatyzmem i postmodernizmem w sztuce. Obserwacje uświadamiają mu, że bylejaką audycję telewizyjną, epatowanie grozą i zabijaniem w filmach i grach telewizyjnych, zalew kiczu podczas koncertów muzycznych, służą kształtowaniu poglądów, sposobowi myślenia i zachowań odbiorców jako oczekiwanych przez polityków i biznesmenów powiązanych kapitałowo z prywatnymi mediami, z organizatorami taniej rozrywki.

Obraz Ameryki przedstawiony przez Wenedę nie zachęca do osiedlenia się w niej Polaków. Kilka przypadkowych spotkań bohatera z Polakami na Manhattanie potwierdzać ma jego niechęć do rodaków i przekonanie, że w powodu braku dobrej znajomości języka angielskiego, niskiej kultury osobistej, braku solidarności grupowej, zasługują na wyzysk przez miejscowych. Środowisko to opisał Edward Redliński w satyrycznych powieściach

# Duchy miasta

Uliczki starego Konina, zaułki, zakamarki ciasnych podwórek, odwiedają duchy. Krają wśród murów dawnego miasta. Siadają na schodkach domów. Późnym wieczorem, gdy zmięra uliczny gwar i nastaje cisza, czas cofa się do dawnych lat. Zapóźnieni przechodnie mogą wtedy napotkać cienie postaci, znajome sylwetki, już dawno odeszłe w przeszłość. Tam, starsza

pani z Iorgnon wygląda zza firanki okna. Tam, cień w cylindrze przemknął się za rogiem uliczki. Tu, ktoś rozstawią sztalugi, rozkłada farby, i pędzlem szkicuje nierealny pejzaż miasta. To mój ojciec. 14 grudnia 2003 roku miałby sto lat. Jak inni odszedł w mrok wspomnień i czasem tylko wyobraźnia znów pozwala zobaczyć Go malującego swoje miasto.

Jan Sznajder

## Pejzaż miejski

Ojcu mojemu dotrzymując kroku, siedłem przez miasto. Ten dom zapamiętał sady wieczorne, bokiem ustawione cegły, na których kocioł, z parującą masą kopyścią od dna przegarnianych sliwek, i światło ognia na sylwetce chłopca, czekającego swojego Murilla...

Żelazny balkon przez ażur rdzy czarny, pamięta lato czternastego roku, ciężkie obręcze rządowych furmanek, koła na bruku, carskie akta w skrzyniach, i urzędniczy dobytek rodzinny.

Żelazny balkon, ciężki od przeznaczeń, żegna te, w nieizwiestnym pochowane grobie, rdzawą lżą wita powroty do kraju...

Domy miasta, ulice galaktyk, skrętnie zakrytych firankami okien, Domy-katedry potraw smażonych na tłuszczu, z zapachem perfum i potu miłości, błyszczących podłóg smarowanych pastą, zmieszaną z moczem ściekającym w bramie -

Tak pachnie miasto, tamto dawne miasto mojego ojca.

*Wiersz ten jest wspomnieniem wędrówki z moim ojcem zaułkami i uliczkami starego Konina, miasta, które pamiętał sprzed I wojny. Dziś, 14 grudnia 2003 roku ojciec mój obchodziłby stulecie swoich urodzin. zapisał się w pamięci miasta jako „człowiek ze sztalugą”, malarz i pedagog.*

Jan Sznajder



grafika - W. Sznajder

# Ostatnia okupacyjna wieczerza

## O mrocznej nocy, w której rodził się dzień jasny...

Grudzie 1944 roku by bardzo mro ny, zalega y wysokie zasp y bielutkiego niegu. W takiej bajkowej sceneri trwa y przygotowania do ostatniej okupacyjnej wigilii (ludzie bał si marzy , czy na pewno ostatniej?). Przeczucia, poparte komunikatami zas yszanymi z zakonspirowanych radioodb iornik w (cz sto na tzw. kryszta ku) b yskawicznie przekazywano s siadom jakie by o wtedy zaufanie i solidarno pomi dzy lud m i O czasach tych, s owami wi n cymi cz sto w gardle i zami w oczach, zechcieli si z nami podzieli znan i szanowani obywatele naszego miasta.

Wspomina **Danuta Kozłowska**, lekarka, była ordynator oddziału wewnętrznego w Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym w Koninie:

– Tamtego dnia byliśmy wyjątkowo wzruszeni i podnieceni, ponieważ ukrywającemu się bratu udało się przedrzeć na święta do domu. Musieliśmy uważać szczególnie na folksdojców, którzy znając polską tradycję spędzania wspólnie świąt bożonarodzeniowych, tropili uciekinierów. Podслуchawali również czy ludzie nie śpiewają koled. Choć było bardzo biednie, to wyjątkowo radość sprawiała zdobytą w niedalekim lesie choinka. Zamiast opłatka był zwykły kartkowy chleb. Zamiast tradycyjnych potraw – zupa buraczana. Nie było kościoła, pasterki i tylko w myślach, śpiewane sercem, przesuwaly się kolejne koledy. I do dzisiaj w wyobraźni, widzę łagodną, falującą światło z karbidowej lampki.

Pułkownik **Ryszard Grundman**, as przestworzy, autor książek o tematyce lotniczej, zapamiętał ten dzień tak:

– Ponieważ Niemcy wyrzucili nas z mieszkania przy ulicy Kolskiej, znaleźliśmy azyl po nielegalnej ucieczce z podkonińskiego Grablina, u siostry mamy na ulicy Kaliskiej. Nas sześcioro, rozgrzana do czerwoności „koca” wraz z biegnącą przez cały pokój rurą, zapewniły tej jednej izdebce aż nadmiar „rodzinnego ciepła”. Nie wiem skąd, ale była choineczka. Obwiesiliśmy ją papierowymi lańcuchami oraz smacznymi żytmami ciasteczkami. Nie było opłatka, nie było prezentów - były jednak śpiewane półgłosem koledy. Były również życzenia, aby wszyscy doczekali końca okupacji. Był jeszcze zapasowany placek z marchwi. Wiele wspomnień

uległo zatarciu, ale smak tamtego placeka pozostał.

**Jerzy Zięba** – jeden z byłych dyrektorów Huty Aluminium, harcerz „Szarych Szeregów” opowiada:

– Ostatnia okupacyjna Wigilia zapowiadała się dla mnie niezbyt wesoło. Najbliżsi – matka i młodszy brat, już wcześniej wywiezieni zostali na roboty przymusowe do Niemiec. Mnie pozostawiono jako zatrudnionego w niemieckiej firmie E.P.Michla. Rodziny żadnej w Koninie nie miałem, więc przygotowywałem się psychicznie do Wigilii w samotności. Na szczęście zaprosił mnie do siebie serdeczny przyjaciel, mieszkający zresztą u swojej ciotki. Kolacja była skromniutka, przedłużaliśmy ją rozmowami o najbliższej przyszłości. Rodziły się pytania jak szybko ruszą zza Wisły Rosjanie i kiedy dotrą do Konina. Nastrój zdecydowanie psuły triumfalne hitlerowskie komunikaty o sukcesach niemieckiego uderzenia w Ardenach.

**Janina Perathoner** (Weneda) – literatka, pedagog, tegoroczny laureat statuetki „Złotego Konia” i zaszczytnego tytułu „Człowieka Roku” wspomina:

– Wigilia 1944 roku była dla mnie niezwykła. Nie ze względu na wystawność potraw przygotowanych na wieczerzę, bo były one równie ubogie jak w innych latach okupacji. Niezwykła, gdyż jednocześnie radosna i bardzo smutna. Radosna, gdyż front wschodni przesuwiał się zdecydowanie na zachód i czekaliśmy rychłego wyzwolenia. Smutna, ponieważ trapiła nas troska o moją siostrę Marysię, przebywającą w Generalnej Guberni i od kilku miesięcy nie dającą znaku życia. Baliśmy się

o nią gdyż wiedzieliśmy, że była odważna i nie pozostawiała obojętna na los prześladowanych. Jednak w ten wieczór Narodzenia Pańskiego dzieliłymi się otuchą, że wkrótce spotkamy się wszyscy, już w wolnej Polsce.

**Józef Karykowski** – zasłużony budowniczy lotnisk (m.in. Powidza), ale przede wszystkim zasłużony miasta. Słynne „rondo Karykowskiego” to właśnie jego sprawa:

Wigilię wraz z rodzicami spędziłem na terenie Niemiec w miejscowości Pannehof. W majątku zarządzanym przez Niemca, który rolnictwa uczył się w Malopolsce, pracowało 46 Polaków. Właściciel znajdował się w obozie za krytykę rządów Hitlera. Wśród robotników była Polka z obywatelstwem niemieckim, która posiadała radioodb iornik i często pozwalała nam (pod koce) słuchać audycji. Dekonspiracja zagrażała wszystkim. Ostatnia okupacyjna Wigilia była wyjątkowo smutna bowiem dowiedzieliśmy się o śmierci bliskiego krewnego – uczestnika powstania warszawskiego. Była to Wigilia bez opłatka, bez choinki, bez ciasta, bez ryb i grzybów. W gronie najbliższych jedliśmy przygotowaną przez mamę kapustę z fasolą i kluski z makiem oraz czarny chleb. Koledy śpiewano tylko w myślach. Wszyscy żyli bliską nadzieją na zwolnienie z niewoli.

**Kazimierz Oblamski** – lekarz, były zastępca ordynatora oddziału internistycznego w WSZ w Koninie, historyk medycyny rzymskiej, w 1944 roku mieszkał w Ślesinie, tak pamięta ten dzień:

– Moja ostatnia okupacyjna Wigilia i towarzyszące jej grudniowe dni

były wyjątkowe z wielu powodów. Baliśmy się jak wszyscy w kraju Polacy, ale my młodzi nie mogliśmy odmówić sobie pewnego ryzyka. Planowaliśmy wypadki bojowe na wroga mając jeden pistolet i kilka sztuk amunicji. Zapal do walki miał zastąpić braki w uzbrojeniu. Zresztą wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że jakieś zmiany niedługo nastąpią. Nie mogliśmy jeszcze ochłonąć po upadku powstania warszawskiego, ale czuliśmy, że już nastąpiło jakieś przesilenie. A to w okolicach Ślesina został zrzucony na spadochronie rosyjski zwiadowca – niestety, otoczony przez Niemców rozzerwał się granatami. A to Niemcy dziwnie posmutnieli. Pozwalali się upijać przez sąsiadów – Polaków i zaczęli narzekać na wojnę. Ślesiniacy zaczęli w swoich chlewikach znajdować świnki, których przecież normalnie nie było. Zaczęły mnożyć się nadszpiezanie króliki. Jednym słowem, trudno w to uwierzyć, ale święta zapowiadały się, jeżeli nie bogato, to jednak nie biednie. Spędziliśmy je całą rodziną z mnóstwem przegarniętych ludzi. Była choinka oraz koledy, które śpiewano na ulicy z kompletnie pijanym niemieckim policjantem. Zdolaliśmy również wysłać paczkę świąteczną do obozów jeńców. Między innymi do generała Kwapiszewskiego oraz porucznika Salamona (z kompanii honorowej prezydenta Mościckiego). Tak spędził ostatnie pod okupacją święta niepokorny Ślesin, ale łuku triumfalnego na wszelki wypadek już nie zbudowano.

Wspomina **Jan Sznajder**, regionalista, kolekcjoner, człowiek sztuki, członek zarządu Towarzystwa Przyjaciół Konina:

– W czasie okupacji mieszkałem w Łądku, w domu babki ze strony matki. Chalupa była gliniana, kryta wielką słomianą strzechą, miała obszerną sień. Po zmroku wieś sprawiała wrażenie wymarłej. Jedynie na granatowym niebie pilnowała mieszkańców potężna, czarna bryła barokowego kościoła, zamienionego przez Niemców na magazyn. Na początku grudnia przed kościołem stały niemieckie wozy taborowe. Nocny pejzaż Łądku wzbogacił się o sylwetki zmieniających się wartowników, odgłosy podkutyh butów i coraz to narastającą ciszę oczekiwaną. Po zmroku życie przenosiło się do wnętrza domów. Przy słabym świetle naftowych lamp lub przemysłowych karbidówek, ludzie dzielili się zasłyszonymi wiadomościami z odległych stron Polski. W taką noc zasiadliśmy do wigilijnej wieczerzy. Była skromna. W poprzednich latach bywało, że po kolacji, zgodnie z tradycją, mimo surowych zakazów władz niemieckich i godziny policyjnej, odważni chłopcy, poprzebie rani za kolędników, chichaczem przemnykali między opłotkami, pukali do okien chat i wkładali do środka odgrywali jasełka. W owym 1944 roku nikt nie zapukał do okna, ale zakrzykiwały frontowe drzwi. Ktoś zabarykadował nam wyjście, a po chwili popłynęła zda drzwi znana nam, kochana melodia „Jeszcze Polska nie zginęła”. Ucichło. Drzwi ustąpiły, ale po niezwykłych kolędnicach nie było już śladu. W taki sposób, miast opowieści o królu Herodzie i jego niecnym czynach, usłyszeliśmy, po raz pierwszy od kilku lat, nasz narodowy hymn. Po latach poznałem owych odważnych „kolędników”, byli to Fabian Frankiewicz, potem lekarz oraz Kazik Frankiewicz i Gabrys Urbanik nieżyjący, odeszli by uczyć wigilijne anioły naszych narodowych pieśni.

Wszyscy moi rozmówcy zdecydowanie prosili o złożenie, w ich imieniu, drogim Czytelnikom, jak najpiękniejszych życzeń świątecznych – co z wielką przyjemnością niniejszym czynię. Niech dzień Bożego Narodzenia przynosi nam wszystkim tylko radośne przeżycia, niech w głęboki cień skryją się ciężkie i trudne czasy.

Stanisław Sroczyński

# Wąsowska opowieść wigilijna

Dziedzic wąsowski nie miał powodów do zmartwienia. Urodzaje były dobre, spichrze pełne. Zbliżała się pora uczyć wigilijnej. Obszedł jeszcze raz podwórze folwarczne i udał się do dworu. Wszakże widać było porządek i dostatek.

Na wieczerzę przygotowano tradycyjnie dwanaście potraw. Gości przy stole była ilość parzysta. Jak bowiem wiadomo i liczba przy stole musi być parzysta i nic nie powinno przerywać wieczerzy. Skonsumowano już kilka potraw, gdy dało się słyszeć pukanie do drzwi. Początkowo ciche i nieśmiałe, stawało się coraz bardziej natręcyjne. Nastrój począł się psuć. Sam dziedzic podszedł do drzwi. Wionęło zimnem. Zawieja była duża. W drzwiach stała biedna wdowa i prosiła o wsparcie. Wiatr wygniół jej

ogień. Nie ma czym napalić w piecu. Dzieci marzną. Nie ma im co dać do jedzenia. Dziedzic oburzony niestosowną porą wyrzucił wdowę za drzwi i odmówił wsparcia. Zdenewrowany wrócił do stołu. Lecz w miarę konsumowania dalszych potraw, zakrapianych słynnym wąsowskim miodem, humor zaczął się poprawiać, a już przy śpiewaniu koled zapomniało o incydencie z biedną wdową.

Po kolacji przypomniało się dziedzicowi, że w noc wigilijną zwierzęta mówią ludzkim głosem. Postanowił więc udać się do obory i posłuchać, o czym mówi bydło. Wszedł do obory, potem udał trzaśnięcie drzwiami, że wychodzi, a sam schował się za kupą siana. Słuchał, lecz jedynymi dźwiękami było stękanie zwierząt i odgłosy przeżuwania. Już wydawało mu się zdremnąć, gdy usłyszał mowę ludzką.

Bydło komentowało wyrzucenie biednej wdowy na mróz i głód. Najbardziej pomstowały krowy, gorąco potępiając okrutny czyn dziedzica. Woly próbowały znaleźć okoliczności łagodzące. Dziedzic z przerażeniem czekał na zapadnięcie wyroku. W końcu sąd zwierzęcy postanowił, że dziedzic ma się zmienić w bezdomnego psa, wiecznie głodnego i żebrzącego o jedzenie. Na wniosek jednak wołów zdecydowano, że zakłęcie nie będzie wieczne i trwać będzie tak długo, aż w noc wigilijną ktoś nie nakarmi tego bezdomnego psa.

Dziedzic zniknął. Ludność zaś Wąsozdy do dziś pilnie uważa, aby przez przypadek nie nakarmić w noc wigilijną jakiegokolwiek obcego psa. Kara dla dziedzica ma bowiem trwać jak najdłużej.

Zygmunt Pęcherski

Naszym zdaniem

## Udana interwencja

Piękny i mądry artykuł pani Jądwi Szymczak, dotyczący cmentarza wojskowego z I wojny światowej (Koniniana nr 7) przeczytaliśmy, zgadzając się z każdą linijką tekstu, choć sami nie bardzo wierzymy w dobroczynne działanie słowa pisanego.

Onegdaj, z początkiem lat 80., po uprzednim doprowadzeniu cmentarza do względnego porządku, w otoczeniu zaczęło powstawać nowe osiedle mieszkaniowe, nazwane osiedlem Zemelki. Dewastacja cmentarza zaczęła się od nowa. A to walające się resztki materiałów budowlanych, a to pozostałości po pijakach libacjach. Zdeplanowane ogrodzenie z płyt, przdatnych złodziejom, straszły mieszkańców... Cmentarz powoli wstawał w osiedle, niszczał, wręcz zaważał mieszkańcom.

Postanowiliśmy interweniować. Ba, do kogo? – i tu wpadliśmy na niezły pomysł. Był jeszcze czas PRL-u i

sąsiad zaś wschodniej granicy surowym okiem śledził nasze poczynania. Jak wiadomo, nie wszystko było nam wolno.

Cmentarz składa się z grobów poległych żołnierzy niemieckich i rosyjskich. Znany władcom negatywny stosunek naszego społeczeństwa do wszystkiego, co rosyjskie, wykorzystaliśmy w interwencji. Po prostu zadzwoniliśmy do Wojewódzkiej Komendy Milicji Obywatelskiej z zapytaniem, czy wiedzą co się dzieje z grobami żołnierzy rosyjskich na cmentarzu wojennym w Koninie? Nadmieniliśmy przy tym, że być może dewastacja cmentarza nie jest niczym innym jak tylko demonstracją wrogości wobec naszych wschodnich przyjaciel. Milicja, wierząc afery, poknęła haczyk. Przez długi okres czasu patrolowano teren cmentarza, co oczywiście wpłynęło korzystnie na jego wygląd.

Danka Czerwińska i Jan Sznajder

## MIŁOWY SŁUP XXIII edycja

Każdy konkurs poetycki, w którym biorę udział w roli jurora, lub jakiegokolwiek innej, dostarcza mi krzepiącej radości. Wbrew powszechnej opinii o poezji, która jakoby nikogo nie interesuje, dziesiątki albo i setki ludzi w różnym wieku sięgają po piórą, by spisać swoje doświadczenia. Niespodziewanie język wiersza okazuje się jedynym językiem na tyle pojemnym, elastycznym, mającym wsparcie tradycji, a do tego za każdym razem indywidualnym, czasami wręcz nowatorskim, by tę szczególność naszych przeżyć móc wypowiedzieć i uszanować. Dopóki więc człowiek posiada jakieś życie duchowe, dopóty istnienie poezji jest niezagrożone.

Wszyscy, którzy piszą wiersze zdają mi się zwycięzcami, wzniesli się przecież ponad poziom współczesnej kultury, o której słychać niejednokrotnie, że duchowych potrzeb nie inspirowała i nie ceni, pokonali swoją nieśmiałość, zawiązali trudny dialog z Czytelnikami. Choć jednak wszyscy zwyciężyli, to niektórzy zwyciężyli bardziej niż inni.

*/fragm. opinii o wierszach  
dr Piotra Śliwińskiego/*



*Wieczór poetycki w bibliotece publicznej*

### Z komunikatu

#### jury

Komisja konkursowa z przewodniczącym doktorem polonistyki z UAM Piotrem Śliwińskim przyznała równorzędne nagrody Henrykowi Liszkiewiczowi z Pily, Miłoszowi Kamilowi Manasterskiemu z Łomianek, Danucie Olczak i Lechowi Stefaniakowi z Konina. Wyróżnienia otrzymali: Dorota Dziedzic z Warszawy, Grzegorz Giedrys z Torunia, Agnieszka Jędrzejczak z Leszna i Urszula Michalak z Łodzi. Za wiersze o Koninie nagrody Tow. Przyj. Konina otrzymali: Monika Jedlińska i Tomasz Jankowski z Konina. Nagrodę Kola Przyjaciół Biblioteki otrzymał Lech Lament z Turku. Na konkurs 110 autorów nadeszło 345 wierszy.

### Wiersze nagrodzone, wyróżnione i zauważone

**Danuta Olczak /Konin/**

#### Ewangelia codzienności

W przypowieściach  
o mamotrawnym życiu  
zagubionych perłach  
siewcach idących donikąd

dzieją się nasze śmierci  
i zamartwychwstania

my - uczniowie światłości  
wydający owoce z cierpkiego drzewa  
potykający się o puste dzbany serca  
porzucone srebrniki  
czasem uzdrawiamy dobrym słowem  
próbujemy rozznaczyć samotny chleb  
wypełnić święte przykazanie miłości  
my - więźniowie samych siebie  
boimy się dotknąć szaty przebaczenia  
wskrzesisz umarłe szczęście  
w winnicy smutku wyciskamy łzy  
osądzamy

kto jest bez winy  
niech pierwszy rzuci kamieniem  
w okno codzienności  
świecie nasz między niebem a ziemią  
bądź wola twój przeznaczenia.

**Lech Stefaniak /Konin/**

#### Kolejne, delikatne napomnienie dla najbliższych

Nie dać się zepchnąć do mieszkania,  
jednego pokoju, miejsca przy biurku,  
łóżka w kącie. Oczywiście z pokorą  
należy dodać - zbyt wcześnie. Piszę to  
rejestrując, nie po raz pierwszy,  
coraz szybciej obracające się zarna czasu.

Ledwie zdąży się zauważyć pory roku, jaśmin,  
już stygnie woda w jeziorach.  
-Nawet nie skosztowałem truskawek.  
-Nad cichnącymi lasami krzyk zbierających się gęsi.  
-Skąd wziąć pieniądze na świąteczne prezenty?

miesiące jak przechodnie przed oknem, wodnik, panny,  
właśnie mignęła złota grzywa Lwa  
(Aslan? - czy to było wczoraj? Nie  
to już 8 lat tato). Kolorowe dni  
zlewają się w szarość.  
Myślę z nostalgią o hodowcach bonzai,  
budowniczych katedr, śniących sen  
o Polsce.

**Monika Jedlińska /Konin/**

#### O Koninie

Miasto moje - owad -  
olbrzymia gaśienica  
ogon jej opiera się o park Chopina -  
gdzie bezdomni strusia zjedli,  
co smakował jak kurczak -  
głowa to Jezioro Gosławskie  
szyję stanowi schronisko  
dla bezdomnych zwierząt -  
ciągle porzucanych,  
gorset to Maliniec, Międzyzlesie,  
Niesłusz i centrum z Wieżą Ciśnień  
-ogonem jest żelazny most Piłsudskiego,  
Wał męczennika Tarejwy,  
Starówka z wiekową farą,  
aż po ukochaną Strugę,  
co wre i kipi, szumi i przyska...

Miasto moje - owad -  
szumiący milionem żyć  
i dawnych i przyszłych  
przechodzi metamorfozę -  
chce stać się motylem

**Anna Małgorzata Piskurz  
/Gniezno/**

Anioł w hospicjum  
Anioł w hospicjum  
nie rozkłada skrzydeł  
mógłby narobić hałasu

przemyka cicho na palcach  
do twary mu w zielonym  
fartuchu

opowiada dzieciom o niebie  
błękitnym i ciepłym  
jak oczy mamy

nocą poprawia kropelkowi  
zaklina szpik kostny  
żeby się przyjął

kiedy umiera maciūs  
kasia albo pawełek płacze  
tak całkiem po ludzku

*Autorka zmarła  
w październiku br.*

**OLGA ze Słupcy  
Genesis**

W czarnoziem nocy  
rzucił ziarna złote  
i zakwitły

rozkołysane

na łodygach ciszy  
wrosły planety  
na gałęzi świata  
dojrzała ziemia

zbyt jeszcze lekka  
aby w dłoniach Ewy  
nabrać kształtu jabłka

zbyt jeszcze cierpka  
by w Adama ustach  
nabrać smaku grzechu

**Dorota Ryst /Warszawa/  
Sen bogów**

kiedy  
bogowie  
zmęczeni  
wojnami o które nie prosili  
przejedzeni  
ofiarami  
których nie chcieli  
zasną  
znużeni  
zamkną lśniące oczy  
wtedy  
w mroku  
niezauważeni  
przemkniemy się do siebie  
wreszcie bez reszty  
sennie bez snu  
kropla po kropli  
w Ocean Niespokojny  
wmodlimy grzech

**Lech Lament /Turek/  
Jak pisać wiersze**

Jak pisać wiersze  
by nie schły na wargach jak liście  
by jak śnieg nie topniały na  
dłoniach  
by zachodziły  
głęboko  
aż do serca  
jak to czyni nóż zdrady  
albo ostrze miłości  
dotyk czuły od którego pamięć  
umiera z tęsknoty  
i pragnie jeszcze większej czułości

jak pisać wiersze  
by jak cedry rosły  
i szumiały wiecznie

jak przekonać wieczność  
do wierszy

**Janusz Mądrowski /Konin/  
„Tacy będziemy”**

Stary człowiek już nie biegnie  
Tam gdzie wieje radosny wiatr przygody  
Nie wspina się na drzewo by zerwać ostatnie jabłko  
Nawet nie myśli o przyszłości  
Tylko rozkoszuje się chwilami z przeszłości  
Roztrząsa stare batalie i całuje piękne dziewczyny z dawnych lat  
Często też siedzi samotny przed oknem  
I wpatruje się w pustą jednolitą przestrzeń  
Z taką fascynacją jak ogień, który liże suche drzewo  
Więc żyje tak bezszelestnie i bezgrzesznie  
Zawieszony gdzieś pomiędzy życiem a śmiercią w zimnym świecie

# KONINIANA

ADRES REDAKCJI:  
62-50 Konin, ul. Przemysłowa 9, tel. 243 77 00, 243 77 03  
NAK ADEM Fundacji Przeglądu Konin **Trzy liście**  
Redaguje zespół Zarządu Towarzystwa Przyjaciół Konina  
ISSN 008-0893